ROZMAITOŚCI.

Dnia 17. Września **N**ro **38.** Roku 1842.

BAL NA WSI.

(Dokończenie.)

Śród śniadania ułożyli panowie projekt łowów na prędce, aby zabić czas do obiadu. — Skrzywił się z razu gospodarz, że mu przed porą sarny i zające rozpędzą, ale potém udał, że chętnie przystaje. Może i rad był na kilka godzin pozbyć się gości, których nie wiedział czém bawić. Dészcz ustał. Wyprowadzono psy, posiodłano wierzchowce, zaszły bryczki—pojechali. Jam namówił mego towarzysza podróży, abyśmy zostali dla bawienia tymczasem dam. Ale całe usiłowanie nasze było daremne. Błoto nie pozwalało wyjść na ogród; jednę pannę proszono, aby zagrała — nie można było uprosić — a za przyczynę dawała, że przy osobach ze Lwowa przybyłych ze swoją muzyką wiejską popisywać się nie może. — Późniéj już nieproszona usiadła do fortepijanu, grała wprawnie i z czuciem, ale nikt nie słuchał — druga bez oporu dawszy się uprosić do śpiéwania, źle śpiéwała. Chwalono bardzo, ale nie śmiano tego śpiewu przedłużać. Żałowały panny, że nie przywiozły z sobą robót — żałowała jedna z poważnych matron, że nié ma partyi wista. — Rozmowa nie szła. Gospodarstwa nie było widać. Ona w ciągłych przechodach z kuchni do cukierni, z kawiarni do kredensu i aptéczki, wydawała, naradzała się, dysponowała, krzątała się — on jeszcze pisał listy, rozsyłał posłańców, wyprawiał po muzykę, po różne potrzeby do miasteczka, układał, nauczał i łajał służących. Koło godziny trzeciéj rozeszły się panie, dla przebrania się do obiadu. Pan B. M. poszedł pomagać stryjecznemu bratu i stryjecznéj bratowéj — zaszedł aż do kuzynki, dla któréj wiózł wazony z kwiatami i tam zastrzągł. Ja sam zostawszy w salonie, począłem czytać gazetę z przeszłego tygodnia — i sam nie wiém jak nad nią zasnąłem — i sam nie wiém jak drzymałem aż do zmiérzchu. Co w myśli, to się i śnić zwykło. Mnie śnił się bal wiejski, ale taki, jak za dawnych bywał czasów — jak jeszcze moja babka w dzieciństwie mojém ze swojéj młodości mi opisywała. Dom przestronny, drewniany, dębowy stół kobiercem okryty i dębowe pod kobiercami ławy, na ścianach tu zdobyte na Turkach makaty, tu obrazy przodków, tu zbroje, tu jelenie rogi i łowieckie narzędzia. Ogromne, u panów śrébrne, u szlachty cynowe misy, takież roztruchany i kubki; w piérwszych jadło, którego domowy spichlérz, obora, staw i knieja dostarczyć mogły, i do którego tylko przypraw i korzeni dokupiono; w drugiéj Węgrzyn wytrawny albo domowy miód, maliniak i wiszniak; poważne, kosztowne, ale długotrwałe, z dziada i babki na wnuczki przechodzące ubiory — orkiestra nieliczna, nie uczona, ale przy narodowéj do muzyki zdolności, wprawą wzwyczajona grać poswistego Polaka, skocznego mazura, wesołego ze śpiéwkami krakowiaka. A przytém niezmyślona naszych przodków wesołość, umysł wolny od kłopotów i trosk, używający obecnéj chwili bez przykrych z przeszłości wspomnień, bez obawy o przyszłość, ich nieobłudna szczérość i otwartość — ta prostota serca, co się bardzo da pogodzić z oświéconym rozumem, ta uprzejmość i niewymuszona grzeczność, ten wzgląd dla każdego należny, tak ściśle przestrzegany,

że ich nawet śród rubasznych żartów, śród gęstych kielichów nieopuszczał nigdy. Szły więc dania po daniach na stół, płynęła na przemian poważna i żartobliwa rozmowa, jak płynęło wino — krążyły kielichy i przy nich częstokroć śpiewy, a po zebraniu stołów, starzy i młodzi razem stawali do tańca, w których nieuczone kroki, ale żywość i zręczność obok powagi popłacała. Tańczono, gwarzono, śmiano się, żartowano do świtu, często z małémi przerwami przez dwie i trzy doby, a gdy umęczeni goście potrzebowali spoczynku, szli wszyscy mężczyźni latem spać na siano do stodoły, damy na sianie i przywiezionych z sobą materacach do sali, w któréj dopiéro tańcowano — a zimową porą w téjże sali, parawanikami tylko przedzielone, spoczywały obok siebie rodziny, a przecie każdy miał co potrzebował, nikt nie narzékał, a z takiego obojéj płci pomieszania, żadna nie wynikła nieprzyzwoitość, i obmowie nazajutrz brakło przedmiotu. — Taka staro-polska uczta jeszcze mi się śniła, gdy mnie zbudził gwar wracających z polowania. Wnet i damy nadeszły i dano do obiadu. Gospodarz wziął pod rękę najpoważniejszą z dam—gospodyni najstarszemu wiekiem mężczyźnie rękę podała — prosili nas, aby prowadzić i przesiadać u stołu damy—ale nikt z mężczyzn do tego się nie ruszył — i jam przed poważniejszymi wyrywać się nie chciał. Za piérwszémi więc dwiema parami w ściśniętéj grupie poszły panie i panny i w drugiéj takiéj grupie mężczyźni, zasiedli osobno dwa końce stołu, panie milczały, albo po cichu między sobą rozmawiały—mężczyźni głośniéj i gwarniéj rozprawiali o dzisiejszém polowaniu — co kobiét pewnie nie bawiło. Kielichy nie szły żywo, bo było kilku grefenberczyków, którzy powiedziawszy z góry, że nic prócz mléka i wody nie piją, wychyliwszy przy śniadaniu i ze dwa razy w kniei po kieliszku gorzałki, przy obiedzie po każdéj potrawie po kieliszku wina coraz innego, do kolejnych kielichów i toastów za zdrowie dam, gospodarstwa, kochajmy się, i t. p. należéć nie chcieli.

Prosto od stołu wyszli mężczyźni na lulki, a wróciwszy do kart zasiedli. Jam został z damami siląc się na ich zabawienie i ledwie mi się udało wprowadzeniem gier bardzo prozaicznych w tasiemkę, w kota i myszkę i podobnych ruszyć panny i młodsze mężatki z miejsca, i zapełnić godziny do 11téj, przed którą każda wstydziła się pójść spać. Mężczyzn przy odejściu dam, zostawiłem jeszcze przy kartach. Jakby w nagrodę za moję usilność w bawieniu dam, w chwili odpoczynku po k o c i e i m y s z c e, jedna z poważnych dam mnie zagadła: »Jak téż to panu przyzwyczajonemu do miejskich zabaw i balów musi tu wszystko śmiésznèm, parafijańskiém, niezgrabném się wydawać.« — »A dla czegoż? wszak Lwów nie na drugim końcu świata. — Ze Lwowa tu przyjeżdzają i z tąd jadą do Lwowa te same osoby, więc w składzie towarzystw, w sposobie przyjmowania i zabawienia się, nié ma różnicy. We Lwowie zwykle mieszane towarzystwo — tu sami znajomi najlepiéjby się bawić powinni. Trudno i we Lwowie o tak dobrane towarzystwo, o tak uprzejmych gospodarstwa, nawet o tak przestronny i tak pięknie ubrany i oświécony salon.« — »Tak się to mówi przez grzeczność, a ja tylko wyglądam jak pan tu się zdrzymiesz, a potém budząc się z ziéwaniem powiész jak Gucio w »*panieńskich ślubach*«: »Tak, tak Mościa dobrodziéjko, ja się na wsi bawię.« — »Nie bój się«, rzekła druga, »ten nie zadrzémie, bo pewna jestem, że wszystko uważa i z nas wzorki zbiéra i może nie jedną powiastkę do »Rozmaitości« z nas ułoży.« — Tém uprzedzeniem, że ja z miasta na wieś przyjechawszy, muszę wszystko w duszy ganić, z wszystkiego żartować, i wszystkiém się nudzić, dokuczano mi do końca balu. — W tém uprzedzeniu brano każde moje słowo, każdy postępek, każdy krok; we wszystkiém co powiedziałem, znajdowano przymówkę — gdym wyraźnie co pochwalił, utrzymywano, że nie szczérze. Jeżelim z razu nie rwał się do tańca, chcąc miejscowym tancérzom zostawić piérwszeństwo, mówiono, że gardzę wiejskiém towarzystwem. Gdym później wiele tańcował, zdało im się, żem ich naprzód wypuścił, aby im później moją wyższość dać uczuć. Przemawiam do jednéj damy po polsku. »Rozumié, że na wsi już innego języka nie umieja« — zaczynam do drugiéj po francuzku—

»wyzywa mnie na francuzczyznę, aby potém szydzić z wieśniaczki.« — Damy każdą grzeczność odemnie przyjmowały z obawą, mężczyźni ile możności odemnie stronili.

Nie darmo to pan Jarosz Bejła narzéka na upadek starych domów i rodów. Nawet diabeł się wyrodził. Stary poczciwy diabeł, dawał niejednemu piéniędzy, odkrywał zakopane skarby, to służył jak Iskrzycki u kogoś za ekonoma, i dobrze panu się wiodło, a odprawiony, został jeszcze przez wierność w kominie i z tamtąd się odzywał, uciekających na Wiśle ratował—to pod imieniem Biruty pił ze szlachtą i figle płatał, wesół widać był, choć stary — a jeźli jaką pobożną duszę uwodził lub na złe namawiał, to się jéj pokazywał w tak ohydnéj postaci, na kozich nogach, z rogami, z pazurami wielkiémi, że z jednéj strony namawiając, z drugiéj sam odstraszał. Można go było to wodą, to żegnaniem odegnać, to oszukać jak Twardowski. Teraz syn jego, młody, niedorosły, bo tylko diabełkiem go zowią, ponury, milczący, nie zda się ni do tańca, ni do rożańca. Na przemian z chciwością, z szyderskim tryjumfem lub rozpaczą w oczach, siedzi tylko i piéniądze wyłudza. A jeszcze się egzorcysta na niego nie znalazł.

Rano w dzień balu, po bezsennéj nocy (bo nad psiarnią któżby się wyspał?) gdym chciał wszystkich gości, z któremi dniem piérwéj się poznałem, w ich mieszkaniach odwidzić, panie mnie nie przyjęły, mając się już ubiérać — a panów już zastałem przy zielonym stoliku. Zapraszali mnie do siebie, a żem nie przystał, żaden słowa odtąd do mnie nie wyrzekł. Posiedziałem przy nich chwilę—popatrzyłem na przechodzące szybko z rąk do rąk banknoty, pomyślałem sobie: jaka to u nas musi być piéniędzy obfitość; ci wszyscy co tu grają, jak muszą mieć czyste majątki, zagospodarowane dobra, wielkie dochody, kiedy tyle na kartę stawić mogą — i jak to wszystko co ich na wsi otacza, musi być bogate, dostatnie, że mają serce tyle przegrywać; bo gdyby ich kiedy widok nędzy uderzył, gdyby ubogi czasem ich pomocy zażądał, gdyby stan ich włościan jeszcze podniesienia lub zapomogi potrzebował, gdyby mieli długi do spłacenia, gdyby stan ich dóbr i gospodarstwo można jeszcze ułepszać; ludzie tak godni, rozsądni, nie pozwalaliby sobie tak kosztownéj zabawy. Tą myślą pocieszony wybiegłem na świéże powietrze. Scieżki już były poprzesychały — ale jakieś przeczucie szepnęło mi: nie idź na wieś, bo wyjdziesz ze szczęśliwéj illuzyi. — Ja wierzę w przeczucia, więc obróciwszy drogę, zapuściłem się w las ciągnący się po za ogrodem, i pod starym dębem usiadłszy, o czasach, które on pamięta, zadumałem się aż do południa.

Sniadanie odbyło się sposobem wczorajszym. Uważałem, że ci najwięcéj zajadali, którym śniadanie obfite, smaczne, ale nie eleganckie, dało pole najzłośliwszych uwag i żartów. Tak to dowcip zaostrza apetyt.

Prosto od śniadania damy udały się do gotowalni, panowie do diabełka — ja wróciłem na dumanie pod starego dęba. Spotkałem się w dziedzińcu z gospodarzem domu. Zdawał mi się być jeszcze w gorszym jak dnia poprzedniego humorze. Powiedział mi tylko: »Nic mi się nie wiedzie, żeby kaci wzięli ten bal.«

Salon połyskujący na ścianach, sprzętach i posadzce, przewietrzony, ozdobny świéżemi kwiatami, napełniony ich wonią, czekał na przyjęcie gości. — Koło trzeciéj zaczęli się zjeżdżać, ale mężczyźni przybywający, przyłączyli się zaraz do grających, damy nowo-przybyłe, same zostały w salonie, czekając na ubiérające się jeszcze panie, co były od dwóch dni w domu. Gospodyni już ustrojona witała przybywających, ale jeszcze nieustannie z kluczykami wybiégała — gospodarza co chwila odwoływano. Znowu więc zabawa była niezabawną. Już i gier małych wnieść nie było można, bo by się stroje świéże balowe pomięły, włosy porozwijały. Obiad był zapowiedziany na godzinę piątą — ale czekano na niektórych gości do szóstéj, a potém kuchmistrz nie pospieszył prędzéj jak na siódmą.

Stół od piątéj nakryty w wypróżnionéj oranżeryi — upał był wielki, potém parno bardzo na dworze, jak bywa przed burzą. Zastawione wcześnie galarety, auszpiki, majonezy, torty z lodami, topiły się i po obrusie ciekły.

Były na stole śrébra, krzyształy i kwiaty. Nie szczędził gospodarz wydatku, choć na wydatek w cichości narzékał. Ryby najrozmaitsze i zadziwiającéj wielkości, źwierzyna aż do daniela, jelenia, dzika i łap niedźwiedzich — kuropatwy, jarząbki, kwiczoły, bażanty, wszystko czego Lwów dostarczyć i co daléj jak ze Lwowa zapisać i sprowadzić można, aż do raków morskich i strasburskiego pasztetu, wszystkiego był dostatek, ale czy pan kuchmistrz nie był trzéźwy, czy się nie swojéj rzeczy podjął, na tyle osób gotować, obiad zupełnie się nie udał. Jedne potrawy były przestałe, zapadłe, drugie niedopieczone, trzecie przegotowane — tu sos za mocny, tu zbytek tłustości, a żadne uchybienie kuchmistrza nie uszło uwagi łaskawych przyjaciół takim kosztem i trudem podejmowanych. Przytém i usługa była najgorsza. Zgrai służących najętych i przypuszczonych do posługi gościnnych, szło tylko o chwytanie niewypróżnionych półmisków, pełnych butelek wina. Leniwo szło zmienianie talérzy i sztućców, jeszcze leniwiéj przybywał z kuchni półmisek po półmisku. Trwał obiad nad miarę długo; wszyscy się umęczyli, nie nasycili. Rzęsiste kielichy na chwilę ożywiły scenę, ale grefenberczycy nie należąc do nich, widoczne okazywali znudzenie.

Zbliżające się czarne chmury przerażały grzmotami, groziły ulewą — wytrzymał jednak dészcz i sucho wróciliśmy od stołu do domu. Ale ledwośmy się zebrali w gorejącym od świateł salonie do tańca, zerwała się burza z wiatrem prosto w okna wiejącym, który świéce gasił — musiano pozamykać okna. Powstało więc w salonie gorąco nie do wytrzymania dla tańcujących i patrzących, od którego świéce topniały i kapały na suknie i głowy. Muzyka była najgorsza, zbiérana; w mazurze piérwszy tancerz wymyślał nowe figury, które nie wszystkim się udawały — zażądano francuzkich kadrylów — myliła muzyka, myliły pary. Gdy po burzy nastąpiła ulewa, niektórzy dla ochłodzenia salonu otwiérali okna, drudzy z daleka wołali, że na nich wieje i biegli zamykać. Wszyscy tańcujący umęczyli się przed czasem. Ulewa nie pozwoliła zastawić wieczerzy w oranżeryi. Musiano stoły przenieść do salonu. To przenoszenie i ustawienie trwało długo, goście tymczasem cisnąć się musieli po małych przyległych pokojach. Na domiar nieszczęścia, kart nie stało. Gospodarz przewidując grę, opatrzył się w karty dostatecznie, ale nie przywidział, że gra zamiast jednéj nocy, trwać będzie przez trzy doby, a nie uważając ile talii przed balem już ubyło, o nowe się nie postarał. Posłano umyślnego na koniu do miasteczka, kazano obudzić kupca i wracać jak najprędzéj — ale już wrócił po balu. Wstrzymani w samym zapale gry, amatorowie wista i l'hombra, a osobliwie amatorowie diabełka, nie mogli gospodarzowi przebaczyć doznanego zawodu. Ten wpadł był w szczęście i mógł jeszcze wygrać wiele — a co przegrał, miał nadzieję powetowania szkody. Niecierpliwili się, gniewali, nudzili się i chcieli przez zemstę, aby wszyscy się z niémi nudzili. Z nudów też zaczęli rozmawiać o polityce, rozdawać trony, urządzać państwa, z tego wpadli na opowiadanie miłośnych awanturek. Tu niewyczerpani byli w dowcipy, śmiano się i ubawiono setnie. Tak noc krótka, letnia minęła prędko — ranek pomimo zapuszczonych zaluzyi zajrzał do salonu, przyćmił świéce i dał hasło do rozjazdu.

Tu dopiéro się pokazało, że woźnice w karczmie weseléj a przynajmniéj żywiéj od państwa się bawili. Podarta odzież, pokrwawione nosy, świadczyły o hulance posuniętéj aż do tuzów. Jeden spadł z kozła przed gankiem — drudzy zaczépiali osiami, kręcili się po dziedzińcu, a innych wcale dobudzić się nie było można. Panowie młodzi, choć znużeni i snu spragnieni, musieli siadać na kozły, i sami powozić. — Ale panie, które nie miały przy sobie mężczyzn sposobnych do powożenia, Bogu tylko się polecały. A w domu walające się kawałki talérzy, śklanek, jadła, potłuczone szyby u okien i źwierciadła, zlane pokrycia na sprzętach i posadzki — kurz na wszystkiém osiadły, połamane krzesła, były jedynym śladem, pamiątką i pożytkiem odbytego festynu.

Wyrwawszy się raz z miasta, na prośbę uprzejmego gospodarza, bawiłem u niego po balu jeszcze trzy tygodnie. Przypatry-

wałem się, że on miał dom nietylko piękny ale obszérny i wygodny, kucharza lepszego, niż najęty kuchmistrz, ludzi porządnych, wprawnych, usłużnych. Ład wielki panował w domu jak w gospodarstwie — nie było zbytku, ale była obfitość, i wszystko, co do wygód i przyjemności potrzeba. Bywaliśmy w sąsiedztwie — porobiłem znajomości i zaprzyjaźniłem się. Znalazłem wiele ludzi godnych, światłych, w obcowaniu miłych. — Ci sami co przed balem i na balu z próżnowania tylko grali w karty, byli w domu zajęci gospodarstwem, w towarzystwie uprzejmi, grzeczni, zabawni. — Gdy się zebrało gdzie osób kilkanaście, bawiono się wesoło, bez przymusu. Do domu moich gospodarstwa, zjechało się raz przypadkiem osób nie wiele mniéj jak na bal. Jedliśmy wyśmienicie, pili bez zbytku, bawili się ochoczo, rozmawiali, grali, śpiéwali, tańcowali po fortepijanie i aniśmy postrzegli, jak śród uciech i śmiéchu noc przebiegła. Usługa szła jak z płatka. Gospodarstwo byli radzi gościom, weseli, uprzejmi i nie zmęczeni.

Dla czegoż w tym samym domu, u tych samych gospodarstwa, z temiż samémi gośćmi, bal tak się nie udał? Oto, że chciano wystąpić nad możność — chciano miasto przynieść na wieś. Bez tak przesadnych żądań, bez takiego zbytku, przodkowie nasi bawili się na wsiach wesoło — i my równie bawić się możemy, ale bawmyż się na wsi po wiejsku.

Lady Henryka Ausseland.

Lady Henryka Ausseland rzadkim jest wzorem poświęcenia i wiernéj miłości dla męża. Towarzyszyła mężowi, majorowi wójsk angielskich do Kanady, przy rozpoczęciu wyprawy r. 1776 przeciw teraźniejszym Stanom Zjednoczonym Ameryki północnéj. Wolała podzielać trudy wojenne, niż zostać w miejscu spokojném, ale oddaloną od męża i samotną. W ciągu téj wyprawy, dotknęła męża choroba, dla któréj musiał zatrzymać się w nędznéj chacie koło Chamblain, gdzie czas długi przeleżał. Skoro się dowiedziała wierna małżonka, nie chcąc go zostawić bez starań, pospieszyła do niego przez niezmierzone kraju przestrzenie, w ostréj i zmiennéj porze roku, śród niewygód i przykrości, o których podróżujący po Europie nie mają wyobrażenia. Udało jéj się przecie z nim się złączyć i doglądać go troskliwie aż do wyzdrowienia. Przy otwarciu wyprawy roku 1777, chciała być uczestniczką wszystkich jego niebezpieczeństw przy oblężeniu miasta Ticonderago. Tylko wyraźny zakaz męża wstrzymał ją od tego przedsięwzięcia. Gdy zaś major nazajutrz po wzięciu tego miasta był ranny, przebyła jezioro Chamblain, aby miéć o nim pieczę, i po jego wyzdrowieniu już nie dała się nakłonić do odstąpienia go przez resztę wyprawy. Sprawiła sobie w tym celu mały i lekki powóz. Major dowodził grenadyjerom oddziału jenerała Fraser, który tworzył przednią straż całego wojska. W takiém zostawali niebezpieczeństwie, że się nikt na noc nie rozbiérał. Razu jednego wybuchnął ogień w namiocie, w którym major z żoną spoczywał. Nieustraszony sierzant od grenadyjerów, będący u niego na służbie, z niebezpieczeństwem uduszenia się w dymie, odważył się wyciągnąć jednę osobę. Trafił przypadkiem na majora. W tymże czasie Henryka, nie wiedząc co czyni, na pół we śnie, ocalała przez wyjście z namiotu ku wałowi, który go otaczał. Piérwszy przedmiot, który opamiętawszy się postrzegła, był mąż po drugiéj stronie namiotu rzucający się w płomienie, aby ją wydobyć. Tenże sam co wprzódy sierzant wyciągnął go powtórnie, lecz mocno się opiekł. Wszystko co było w namiocie, zgorzało. Wkrótce potém przebywało wojsko rzékę Hudsun. I tu Henryka była przy mężu. Ledwie na ląd wysiadło wojsko, grenadyjery majora Ausseland musieli co krok walczyć z nieprzyjacielem. Lady nie opodal w małéj opuszczonéj chatce przytułku szukała.

Gdy zaś bitwa stała się powszechną i bardzo krwawą, chyrurgowie wojskowi zajęli też chatkę na schronienie bezpieczne i spokojne dla rannych. Przez cztéry godziny w ich towarzystwie słyszała Henryka huk dział i ręcznéj broni. Wiedziała, że ten huk pochodzi ze stanowiska, na którém jéj mąż zostawał na czele swoich grenadyjerów, wystawiony na strzały. Miała jeszcze przy sobie trzy niewiasty: baronowę Riedesel, majorowę Harnage i żonę porucznika Haynele. Przytomność tych niewiast, stała się dla niéj jeszcze większą męczarnią, gdy wkrótce przyniesiono rannego majora Harnage i doniesiono o śmierci porucznika Riedesel. Henryka będąc świadkiem rozpaczy dwóch żon, nie straciła odwagi i stałości, które na coraz srószą próbę były wystawione, bo wkrótce znajdowała się jeszcze bliżéj bitwy nierównie zaciętszéj, w któréj wojsko angielskie odniosło klęskę, a jéj mąż ciężko raniony, dostał się w niewolą. To nieszczęście było dla niéj najdotkliwsze. Widziała

się nietylko oddaloną od męża, ale jeszcze patrząc codziennie na boleść i śmierć w chatce przerobionéj na lazaret, gdzie sama przymuszona była szukać schronienia, trapiła się myślą, że jéj mąż w ręku nieprzyjaciół podobnych cierpień doznaje.—»Ludzie-to jednak być muszą«, zawołała nakoniec, »ci u których mąż mój zostaje—muszę się z nim złączyć, a Bóg mi dopomoże!«

Posłała więc umyślnym list do jenerała Bourgoyne z usilną prośbą, o pozwolenie udania się do nieprzyjacielskiego obozu, dla doglądania męża, w nadziei, że jéj nieprzyjacielski jenerał Gates téj pociechy nie odmówi. Bourgojne znał Henrykę jako osobę pełną odwagi i stałości, a przecież go jéj postanowienie zdziwiło. »Zastanów się pani«, pisał do niéj, »że wychowana w wygodach, wytrzymawszy już tyle przeciwności i obawy, czuwaniem, niespokojnością, głodem wyniszczona, po dwunasto-godzinném wystawieniu na dészcz nieustanny, na nowe się chcesz narażać niebezpieczeństwa — nocą zapewne myślisz się przebiérać do nieprzyjaciela, nie wiedząc w jakie ręce się dostaniesz.« Takie przedsięwzięcie, mniemał jenerał, przechodzi siły ludzkie.—Na te zarzuty Henryka odpowiedziała tylko: »Chcę, muszę, zaklinam cię jenerale!«

Jenerał Bourgoyne ze swojéj strony nie wiele mógł dla niéj uczynić. Nie miał nawet wina— z kąd inąd dostała trochę rumu i mętnéj wody. Mógł Bourgoyne dać jéj tylko łódź otwartą i kilka słów na brudnym i mokrym papiérze skréślonych do jenerala Gates, którego opiece ją polecał. Kapitan artyleryi Brudanell sam się ofiarował jéj towarzyszyć. Tak popłynęła z jedną służącą i pokojowcem mężowskim, który w ostatniéj bitwie był w łopatkę postrzelony kulą dotąd w niéj tkwiącą. Lecz nie tu jeszcze koniec cierpień Henryki.

Noc już była późna, gdy łódka dostała się do przedniéj straży nieprzyjacielskiéj, a ta ani jéj pozwalała daléj płynąć, ani na ląd wysiąść. Napróżno Brudanell wywiesił banderę wzajemnego bezpieczeństwa i położenie nieustraszonéj żeglarki w czułych wyrazach wystawiał. Straż obawiając się zdrady, wierna otrzymanym rozkazom, groziła daniem ognia do łodzi, jeźli przed świtem z miejsca się ruszy. Jeszcze więc Henryka blisko ośm godzin w ciemności i wilgoci nocnéj, śród niespokojności i obawy przebyła. Jenerał Gates atoli przyjął ją z grzecznością i uszanowaniem winném jéj urodzeniu, zasłudze i poniesionym cierpieniom. Dopięła celu swych życzeń i uczuła się najszczęśliwszą obok męża, który téż przy jéj staraniach w ciągu trzech miesięcy przyszedł do zdrowia. Potém żyła jeszcze Henryka lat ośm w szczęśliwém stadle, i zeszła ze świata z przekonaniem, że obowiązkiem przywiązanéj żony, w całéj zupełności za dość uczyniła.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 37. i obejmuje: 1) Niektóre prawidła służące do uprawy łąk za pomocą zroszenia. (Dokończenie). 2) O gatunkowaniu owiec. (Dokończenie) 3) O różnych sposobach nasalania (peklowania) mięsiw do handlu. 4) Wiadomości czasowe: Machina przędząca len i konopie.

Ner 18. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Kilka rysów z powieści Adama Gorczyńskiego. 2) Człowiek szczęśliwy (z angielskiego). 4) Wiersz do J. N. Kamińskiego, przez Antoniego Czajkowskiego. 5) Uwaga.

W Krakowie w drukarni Józefa Czecha, wyszedł przekład z francuzkiego Pawła de Kock *Historyja mężów*. Prawda, że przekład lepszy niż inne tuzinkowe tłumaczenia dzieł tego pisarza, jak: *Brat Jakób, Dom biały*, — gdyby nas tylko tłumacz nie chciał był uraczyć i własnym dowcipem, i nie pisał kilkokartkowych niby humorystycznych przedmów i wstępów. Ale cóż? kiedy na humorze Pawła de Kock rozgrzał sobie pan X. X. i własny dowcip, i ni w pięć ni w dziewięć wyrwał się z nim jak »Filip z konopi.«— U nas dzieła Pawła de Kock okrzyczano, iż je we Francyi tylko lokaje, przekupki i gryzetki czytają. Zwyczajna krytyka wyrzekła, iż Kock odznacza się tylko w rubasznych żartach lub humorystycznych karykaturach. Niesłusznie go osądzono. On jeden tylko wyrównał Hogarthowi w głębokiéj, trudnéj sztuce łączenia komicznego z okropném. W szczegółach swych silnych, mezkich obrazów wyśmiéwa błędy i zdrożności ludzkie, ale całość czyni pełne grozy, skutkami zbrodni przejmujące wrażenie. Wątpimy, czyliby Francyja między swoiemi pisarzami posiadała większego nauczyciela moralności, jak Pawła de Kock, gdyby tylko nie jeden nieszczęśliwy błąd, który w najwazniejszych dziełach napotkać można. Moralista we wszystkiém, — moralista intuicyjnego poznania prawdy — swemu charakterowi niewiernym się staje wszędzie, gdzie tylko chodzi o stosunek płciowy, i w tym błędzie, fałszywém rozumowaniem umocnić się stara. Nie tu pole zbijać ten błąd, powiemy tylko, iż naszém zdaniem Paweł de Kock pomimo téj wady, daleko jest moralniejszym niż spółcześni jemu pisarze; on jest wolnym od owéj wzniosłéj kokieteryi, która najbrudniejsze namiętności i czyny okrasza najpiękniejszémi uczuciami i niémi fantazyję łechce. Nadzwyczajna popularność Kocka zepsuła mu kredyt u tych osób, które chcą być lépszémi niż gmin. Nasze znakomite damy odwracają się na same wspomnienie Kocka, mówią, iż rubaszne jego obrazy może czytać tylko gmin prosty, podczas gdy pod siódme niebo wynoszą wyrafinowaną myslowość jakowej Lelii, lub powabną podłość jakowego Peau de Chagrin. W »*Historyi mężów*« Paweł Kock i od wspomnionego błędu jest wolnym.

Tamże wydał uczony profesor i biblijotekarz Muczkowski dzieło: *Mieszkanie i postępowanie uczniów krakowskich w wiekach dawniejszych.* Ciekawe nam autor daje poglądy na stan akademii krakowskiéj, osobliwie

prowadzenie się i postępowanie uczniów, opisuje w sposób, z którego widzimy, iż nietylko po akademijach zagranicznych zagnieździł się był nierząd w wiekach dawniejszych.

Wydział literacki w Kasynie gostyńskiém. Z *Przewodnika rolniczo-przemysłowego leszneńskiego* celującego doborem artykułów, wyjmujemy tu w wyciągu sprewozdanie Wydziału literackiego w Gostyniu, z posiedzenia na dniu 6go lipca b. r. Najpiérw złożono do zbioru starożytności góźdź z grobu Dąbrówki. Dalej udziélono ciekawe filologiczne prace ziomka, pod napisem: *Rudimenta języka madagarskiego*, spisane przez p. L. Pleszczewskiego. Przedłożono statuta Towarzystwa sztuk pięknych w Poznaniu, które na jedném z swoich posiedzeń uchwaliło, aby czwartą część wszelkich dochodów tego Towarzystwa, obracano na założenie muzeum narodowego w Poznaniu. Wspomniano także o mającym wychodzić na rok przyszły polskim *Przewodniku górno-szląskim*, którego redaktorem ma być pan Lompa w Gliwicach.

W Wrocławiu wyszły: *Wyciągi Piotrowickie*. Są-to ciekawe wyjątki z księgozbioru Piotrowickiego, które właściciel p. An. Ed. Koźmian wydał. Zawiérają listy króla Stanisława Augusta do Naruszewicza. List Czernichewa, naczelnika floty rossyjskiéj do Naruszewicza (o polskiém pochodzeniu familii Czernichewa). Kochowskiego niedrukowane poezyje. — Dział majątku po Janie III., oprócz tego i inne listy rozmaitych osób.

W Poznaniu wydano z rękopismu Wybickiego: *Dodatek do pamiętników Wybickiego, odnoszący się do życia Andrzeja Zamojskiego.* W małéj lecz ważnéj téj broszurce objaśniony jest stan okoliczności i bieg obrad, w przedmiocie projektu Andrzeja Zamojskiego do zbioru praw, który zręcznie obrócono na projekt zupełnie nowego kodeksu narodowego, w ten sposób, że przez prawo cywilne chciano nadać inny kierunek prawu publicznemu, czyli zmienić stosunki socyjalne Rzeczypospolitéj. Rzucane tu raz po raz uwagi autora już się wprawdzie bardzo przeżyły, ale w nich pochwytuje się niejedna okoliczność utajona, a stanowiąca węzeł wypadków w historyi panowania Stanisława Augusta. Ułamek niniejszy choćby nie miał i tych politycznych widoków, byłby zawsze bardzo ważnym dla badaczy prawa. Można tu się spotkać z Polakiem głębiej rozumującym o prawie, właśnie w epoce dla Polski całkiem nieprawniczej.

Z Lipska. Już dawniéj zapowiedzieliśmy wydane dziełko: *Listy z za-granicy* St. W. (Witwickiego). Kilka pism czasowych umieściło wyjątki z tych przesławnych listów. W ostatnim numerze i »Lwowianin« jeden wyjątek umieścił. Gdy tak się szybko rozpowszechniają zdania w tém dziełku zawarte i my musimy słowo o nich powiedzieć. Oto autor tych listów wychwala i pod niebiosa wynosi wszystko, co tylko martwe, co nie człowiek, a na ludzi i towarzystwo przez czarne szkło patrzy, i najczarniejszémi maluje je farbami, zmaczawszy piérwéj swój pędzel w żółci. W towarzystwie ludzkiém tylko odwrotną stronę widzi, a opisując ją, wychodzi z bardzo ciasnego obrębu a do tego jeszcze przesadza. Tak kréśli Niemcy a osobliwie Paryż i Francyję. I wyjątki z takich dzieł, jako coś bardzo ważnego, przedrukuwują w pismach czasowych!

Bruk drewniany. Wiadomo, że w najnowszym czasie z wielorakich względów zalecano, aby ulice po miastach klockami drewnianémi brukować, i że nowy ten bruk w Londynie i Paryżu po niektórych miejscach już zaprowadzono. Otóż z Londynu donoszą w téj mierze co następuje: »Przeszłéj zimy okazało się dokładnie, że po ulicach brukowanych klockami drewnianemi podczas gołoledzi na żaden sposób jeździć nie można. Wydarzyło się bowiem wiele nieszczęśliwych przypadków, i gdyby wszystkie ulice w mieście tak były brukowane, wypadałoby koni i powozów całkiem zaniechać, skoro się bruk lodem pokryje.«

Bank francuzki. Pewien podróżny, który miał sposobność przypatrzyć się dokładnie bankowi francuzkiemu w Paryżu, donosi, że śrébrna moneta przechowana jest w beczkach, które w obszérnych podziemnych sklepach są umieszczone. Każda beczka zawiéra 50,000 franków w monecie pięcio-frankowéj, i waży 600 funtów. Podczas mojéj bytności, pisze tenże podróżny, było około ośmset takich beczek, jedna na drugiéj ustawionych. Idąc długim kurytarzem pomiędzy takie beczki, przyszliśmy nareszcie do obszérnéj przestrzeni, mającéj sklepioną kamienną powałę i żelazną podłogę, na któréj stoją duże, czworo-boczne skrzynie ołowiane. Każda z tych skrzyń zawiéra 2000 kies, w każdéj jest po 1000 franków, a wszystkie są szczelnie zamknięte. Niektóre z nich zdają się, że może już od lat czterdziestu nie były otwiérane, a dyrektor banku powiedział mi, że może jeszcze przez sto lat tak będą stały nietykane. W tych ołowianych skrzyniach utrzymuje się skarb banku zupełnie sucho i zabezpieczony jest od wszelkiego wpływu temperatury. Wschody prowadzące do tych kraiu Plutusa są tak wązkie, że tylko jedna osoba z światłem na dół lub do góry iść może. Są one umyślnie tak urządzone dla bezpieczeństwa i obrony. W kącie przy drzwiach nad wschodami jest zawsze wielka kupa piasku na pogotowiu, aby w przypadku, gdyby pospólstwo do banku się dobywało, natychmiast wschody piaskiem zasypać. Obliczono, iżby potrzebowano dwóch dni dla uprzątnienia tego piasku i utorowania drogi do skarbu, choćby pospólstwo istotnie bank opanowało. W jednym z sklepów podziemnych przechowane są bogate skarby Rothschildów, tudzież innych kapitalistów, którzy złoto swoje dla bezpieczeństwa w banku złożyli. Nadaremną byłoby rzeczą opisywać długość, szerokość i grubość sztab złotych, które w tym sklepie aż do powały są napiętrzone. Osoby prywatne oddają do téj twierdzy swoje śrébra i inne klejnoty na przechowanie; jeden z najmajętniejszych magnatów europejskich, książę Demidów, umieścił tam swoje klejnoty, i tak między innémi widziałem skrzynkę z dyjamentami cenioną na siedm milijonów talarów, która do tego rossyjskiego Krezusa należy.

Spotrzebowanie szampana w Niemczech. Jestto rzeczą uwagi godną, że od czasu rewolucyi lipcowéj tak znacznie wzmogło się w Niemczech spotrzebowanie szampana, iż teraz Niemcy rocznie najmniéj dwie trzecie części tego wina więcéj, niźli przedtém spijają. Z początkiem roku trzydziestego przestał szampan być osobnym przywilejem arystokracyi. Od tego czasu stał się on popularnym i uzyskał prawo podczas wszelkich festynów, nawet po małych miastach i na wsi się znajdować. Kraje niemieckie wydają teraz trzy gatunki szampana, to jest: reński, nekarski i lesnicki, które tak są wyborne, iż śmiało mogą iść w zawody z prawdziwym szampanem francuzkim, a przecież handlujący winem kupcy francuzcy sprzedają w Niemczech o kilka tysięcy butelek więcéj niżeli przedtém.

Szczególniejsze przyozdobienie ogrodów. Wiadomo, iż dla ozdoby i niespodzianego zdziwienia widzów, umieszczają teraz po ogrodach różne

osobliwości. I tak: W Chatsworth rośnie drzewo mające ukrytą fontannę, która nieprzezornego, jeżeli się do tego drzewa zbliży, całkiem wodą oblewa, gdyż tylko wtedy tryska, gdy kto w pobliżu drzewa stanie. Chińczykowie pomiędzy alejami swych ogrodów mają małe stawy, które wodnémi roślinami tak są pokryte, iż zupełnie wody nie widać, a nieprzezorny, który się na zieloność stąpić poważy, po uszy w wodzie się skąpie. Stanisław Poniatowski, kazał był w Łazienkach w szerokiéj alei powznosić postumenta, na których podczas festynów uroczystych, żywe posągi w różnych ubiorach ustawiano. Napoleon miał w planie cały ogród tuileryjów śkłem pokryć. Założona niedawno w Chatsworth rośliniarnia jest tak obszérna, że w środku jéj powozem przejeżdżać można. — Przy téj sposobności nadmiéniamy także, iż georginije, które w tych czasach tak są ulubione, przez lady Holland 1804 w modę weszły; że w Anglii jest dwa tysięcy rozmaitych gatunków róż; że w tym samym kraju niektórzy ogrodnicy zajmują się jedynie pielęgnowaniem bluszczu, którym do Francyi i Niemiec znaczny handel prowadzą, i że delikatny piasek w alejach wersalschich tudzież w Kaserta koło Neapolu, z Anglii z Kissyngton tamże sprowadzono.

Dla zwolenników kranioskopii. Z Paryża donoszą: »Doktor L., zapalony frenelog, ogłosił niedawno przed komisarzem policyi swoję pokojówkę jako złodziejkę li tylko z tego powodu, że gdy się czesała, spostrzegł na jéj głowie doskonale uformowany organ złodziejski. Komisarz policyi oświadczył, że takiego zeznania w żaden sposób przyjąć nie może, a doktor nic nie wskórawszy odszedł do domu. W trzy dni później wrócił tenże sam frenelog z tryjumfem do komisarza, oznajmując mu, że pomieniona dziewczyna, gdy ją dla frenologicznych powodów odprawił, skradła mu istotnie różne rzeczy w wartości 1200 franków wraz z sakiewką, w której 27 napoleondorów było. A że oprócz tego odkrył na jéj czole organ miłości powinowatych, więc oznajmić może, gdzie złodziejka obecnie się znajduje: udała się ona zapewne do swojej matki, siostry lub jakiéj innéj pobliżkiéj krewnéj. Tym razem komisarz policyi nie uchylił się od pomocy umiejętności, jakoż Emiliję G. schwytano istotnie w domu jéj matki, gdzie skradzione rzeczy była ukryła. Doktor L. odebrał swe ruchomości; byłato satysfakcyja, która nietylko zastosowanie teoryi jego nauki, ale nawet materyjalny jéj pożytek wyświéciła.

Rossyjska George Sand. Jeźli zawierzyć można jednemu z dzienników rossyjskich, Helena Andrejewna Hahn z domu Fadejew, znana pod nazwiskiem Zeneidy N., zajmuje zaszczytnie miejsce między prozaikami rossyjskimi. »Zeneida«, twierdzi recenzent, »jest George Sand naszéj literatury — stoi ona nawet jeszcze wyżéj niż tamta. Co do talentu twórczego, sztuki wzbudzenia wielkiego udziału i zajęcia, obiedwie autorki są do siebie podobne; obiedwie lubią cierpkie sarkazmy i wymowne wybuchy głębokiego uczucia — ale Rossyjanka przewyższa Francuzkę co do moralności i czystości obyczajów, a jeszcze więcéj pod względem tego, co najwyższy estetyczny wdzięk literackiego produktu stanowi — to jest pod względem stylu. Jakoż w saméj rzeczy twierdzić można, że George Sand nie ma żadnego stylu, ani złego ani dobrego, podczas gdy Zeneida przeciwnie, okazuje w téj mierze artystowskie wypracowanie, jeżeli piękność jéj stylu, doskonałą symetryję, tudzież świetny harmonijny koloryt raczéj instynktowi jenijuszu, niżeli artystowskiéj pracy przypisać mamy. Zdaje się, iż Zeneida złote pióro swoje macza w kolorach tęczy. Ma ona prawdziwego ducha poetycznego, chociaż się prozą wyraża — proza jéj odznacza się taką doskonałością i wytwornością, jaką najzwnioślejsi poeci zaledwie osiągnąć mogą. I tak np. proza Puszkina nie wytrzyma żadnego porównania z jego wiérszami; skoro zejdzie z dziedziny poezyi, zaraz znika wyraz i koloryt, a my zamiast tego wszystkiego otrzymujemy tylko wymuskaną oschłą prostotę. Nie lepiéj dzieje się także Kukolnikowi, lecz po nim jeszcze wiele spodziéwać się możemy, gdyż niedawno puścił się w zawód prozaiczny, w którym, sądząc podług jego *Eweliny de Wallerol*, rokuje, że naszym Walter Skotem zostanie.«

Rossyjanie na Kaukazie. Oficerom rossyjskim, którzy się dobrowolnie do służby na Kaukaz zgłoszą, zapewniono ukazem cesarskim z dnia 20. maja 1838, zaliczenie na jeden rok żołdu, podwójną gażę i wynagrodzenie kosztów podróży. Jednakże wszystkie te korzyści zdają się być niczém, w porównaniu z niebezpieczeństwem i trudami, z któremi ta służba jest połączona. Kapitan Jesse, jeden z oficerów angielskich, który w zeszłym roku wydał na widok publiczny swe podróże, wyraża się o warowniach rossyjskich w kraju Czerkasów jak następuje: »Jedna strona tych warowni leży zawsze nad potokiem, ktory, jeźli ma podostatkiem wody, zasłonięty jest łodzią o kilku działach i rowem. Jeźli zaś w pobliżu nie ma potoku, natenczas obok miejsca na warownię, szukają przynajmniéj strumienia, gdyż załoga dla przyniesienia drzewa lub wody, nie może się oddalić, ażeby straty nie poniosła. Czerkasy tamują częstokroć potok i sprowadziwszy go na inne miejsce, zmuszają Rossyjan iść o podal po wodę. W takim razie Rossyjanie torują sobie drogę przez gęste chaszcze i strome góry, z czego przeciwnicy ich tak dobrze korzystać umieją, iż eskorta najczęściéj z kompanii złożona, rzadko bez znacznéj straty powraca. Pewien oficer rossyjski opowiadał mi, iż nie raz się zdarzało, że śklankę wody krwią okupować musiano. Rzecz jasna, iż jeszcze trudniéj między dwiema warowniami komunikacyję utrzymać. Wszelako nietylko ta jedna niedogodność trapi wojsko tamtejsze; gdyż we wszystkich nizko położonych okolicach panuje zepsute powietrze, a zgniła febra, któréj ani zapobiedz, ani się z niéj wylećzyć można, przerzédza okropnie szeregi. Panujące na wybrzeżach gwałtowne wichry, odcinają częstokroć wszelką żywność, która zawsze jest bardzo szczupła i zawsze jednakowa, a że w tamtejszéj okolicy żadnéj żywności dostać nie można, przeto nieraz wojsko w najokropniejszéj potrzebie zostaje. Bardzo rzadko znajdziesz tam świéże mięso, którego dla ogromnéj ceny, szeregowiec bynajmniéj nie dostaje. W zimie 1839 tak długo była przerwana komunikacyja z Sebastopolem i Kerczem, iż za czetwert żyta sześćdziesiąt i pięć rubli płacono. Ale jeszcze trudniéj dostać lekarstwa, dla tego na febrę trzeciaczkę używają zwykle taniego lekarstwa, to jest, jedzą śledzie solone, które w tamecznych okolicach są bardzo smaczne.«

W Mexyku wzmaga się cywilizacyja. W doniesieniu z Chikago czytamy co następuje: »Najwyżsi sędziowie nasi wydali rozporządzenie, którém na przyszłość każdemu adwokatowi zakazano w czasie mowy przed sądem sprawiedliwości, — cygaro palić.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.